

KULTURA

Newsweek

WYSPIAŃSKI RAZ JESZCZE

KONRAD WŚRÓD HIPSTERÓW

Nasze narodowe mity zżerają nas od środka jak choroba. Albo się od nich uwolnimy, albo zmienimy się w Koreę Północną – ostrzega reżyser Krzysztof Garbaczewski, który w warszawskim Teatrze Studio wystawia „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. I proponuje drogę ucieczki. Kierunek: San Escobar!

TEKST DAWID KARPIUK ZDJĘCIE ADAM TUCHLIŃSKI

Na początku jak zwykle jest chaos. Pusta scena zatopiona w ponurym, zielonym świetle. Zdenerwowani aktorzy, zniecierpliwieni techniczni. Zatopiony w myślach Garbaczewski przechadza się po pustej scenie. Z głośników słychać zniekształcony głos Konrada: „Idę z daleka, nie wiem, z raju czyli z piekła. (...) Rozpacz za mną się wlekła głową węzów, okropnym widziadłem, wyjąc: zemsta”. – Jest super. Jest super – ożywia się Garbaczewski i znów się zamyśla. – Ale może spróbujmy inaczej.

Wszyscy wiedzą, że przedstawienie złoży się, kiedy się złoży, teraz trzeba już tylko czekać.

Inspicjentka przygląda się reżyserowi z widowni. Kiedy zaczynała pracę w Teatrze Studio, Garbaczewski był pierwszakiem w białostockim ogólniaku. – Panie Radku – zagaduje asystenta Radosława Mirskiego. – Aktorzy się trochę niepokoją. Premiera zaraz, a tekstu nie ma. Czy to się złoży? Reżyser taki zdolny... – odpowiada sama sobie. – To chyba się złoży.



Próba spektaklu „Wyzwolenie”
w reż. Krzysztofa Garbaczewskiego,
Teatr Studio, Warszawa, 9 marca 2017 r.

Najpierw „Wyzwolenie” Garbaczewskiego trafiło na Pudełka. Na zdjęciu reżyser w czarnych lennonkach, w tle kawałek scenografii Aleksandry Wasilkowskiej. „Po »Kłątwe« czas na »Wyzwolenie«?” – pyta retorycznie Pudełek. I straszy, że w teatrze już stawiają krzyże na scenie.

Krzysztof Garbaczewski nie może w to uwierzyć. – Czy ty to, kurwa mać, widziałeś? – pyta, chodząc w kółko przed drzwiami teatru z papierosem w dłoni. – Przecież tam nie ma nawet jednego krzyża – rzeczywiście nie ma. – Zrobię konkurs: znajdź krzyż w scenografii. Jak ktoś znajdzie, dam bilety na premierę!

„Rodacy La la land Poland!” – pisze Garbaczewski w opisie przedstawienia. „Czas Wyzwolin się zbliża! Czy to, czego potrzebujemy, to rzeczywiście zemsta? Nowy narodowy dramat pt. »Najnowsze Wyzwolenie«, w skrócie »Wyzwolenie«, na podstawie arcydzieł mistrzów pióra Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Witkiewicza aka Witkacego, opowiada o życiu mieszkańców San Escobar, a szczególnie o perypetiach mentalnych jednego z nich, w wielu osobach obecnego, wybrańca, Florestana Wężymorda aka Konrada”.

Z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego Garbaczewski wziął tekst (a w każdym razie część tekstu). Z króciutkiej, szalonej jednoaktówki Witkacego pożyczył ducha. Czyli szaleństwo właśnie. – Świetny jest ten Witkacy – uśmiecha się Garbaczewski. – To jego „Nowe wyzwolenie” jest takie nie na temat, bez sensu, plotkarskie, dzisiaj byśmy powiedzieli, że queerowe. Kompletnie wywraca Konrada do góry nogami, robi z niego Florestana Wężymorda. Tam poważny bohater, mit narodowy, a tu jakiś dziwak o nieprawdopodobnym imieniu. Wyzwólmy się od wyzwolenia, namawia Witkacy. A my razem z nim.

Wyspiański wystawił „Wyzwolenie” w 1903 r., niedługo po premierze „Wesela”, po której uznano go za czwartego wieszczą. Pisał je już więc jako równy Mickiewiczowi. – Jego „Wyzwolenie” to wezwanie do odrzucenia starego porządku, wyłamanie się z mesjanistycznej, quasi-sekciarskiej wspólnoty, która bez końca celebrowała śmierć, która bierze groby za ołtarze – mówi Garbaczewski. – Konrad-Prometeusz chciałby wszystko spalić, żeby, jak pisał Lechoń, „wiosnę, a nie Polskę zobaczyć”. Wystawiamy klasykę, żeby się od niej w pewnym sensie uwolnić, żeby ją skonfrontować ze współczesnością.

Akcja „Wyzwolenia” dzieje się w San Escobar, w którym marzenia się spełniają, w którym dokonuje się permanentna transformacja. W którym osiąga się wolność, na zmianę burząc i budując. – Może gdybyśmy mieli swoją kolonię na Madagaskarze, gdybyśmy tam jeździli na wakacje, bylibyśmy trochę zdrowsi – zamyśla się Garbaczewski. – Skoro nawet Oliver Frljić nazywa nas czaruchami Europy, to może coś w tym jest. Gdyby więc istniał San Escobar, rajska wyspa z celebryckich instagramów, może na niej dałoby się jakoś uwolnić od ciężaru polskości?

Pewien znany reżyser teatralny mówi o Garbaczewskim, że geniusz łączy się w nim z odrobiną ściemy. W branży zazdroszczą mu jednego i drugiego. Że talentu, to zrozumiałe. O co chodzi ze ściemą? – Mówiąc ogólnie: o umiejętność improwizacji – tłumaczy znajomy Garbaczewskiego. – Jeśli zda-



ZDARZAJĄ SIĘ KATASTROFY, ALE ON Z TYCH KATASTROF POTRAFI ZROBIĆ COŚ NIESAMOWITEGO

OPOWIADA O PRACY Z GARBACZEWSKIM
SCENOGRAFKA ALEKSANDRA WASILKOWSKA

rzy mu się zabrać w ślepy zaułek, a takie rzeczy zdarzają się każdemu reżyserowi, a już zwłaszcza tym, którzy pracują tak jak Krzysztof, potrafi go tak przemeblować, że potem publiczność otworzy usta ze zdziwienia. No to musi być sztuka! No a z drugiej strony to jest talent nieprawdopodobny. Słyszał ktoś, żeby o trzydziestoparolatku mówić „wizjoner”? A o Garbaczewskim tak się mówi od dłuższego czasu.

W zeszłym roku Garbaczewski odniósł duży sukces z „Robertem Roburem”, wystawionym w warszawskim TR i inspirowanym ostatnią powieścią Mirosława Nahacza. To był jeden z najważniejszych spektakli sezonu, choć rodził się w bólach. Tydzień przed premierą grający główną rolę Dawid Ogrodnik zemdlął w czasie próby. – Tak intensywnie pracował – mówi Aleksandra Wasilkowska, scenografka regularnie współpracująca z Garbaczewskim. – Trzy dni przed premierą okazało się, że nie wystąpi. Krzysiek w panice wpadł nawet na pomysł, żeby samemu zagrać. W końcu na jego miejsce wskoczyli Paweł Smagała i Justyna Wasilewska, która czytała z offu tekst głównego bohatera. I to zadziałało! Coś, co miało być totalną porażką, okazało się siłą przedstawienia.

Scenografia w „Wyzwoleniu” tworzy osobną opowieść. Na scenie wznoszone są mury i wieże, aktorzy i technicy przez cały czas burzą, budują i przestawiają. – Odniosłam się do fragmentu „Wyzwolenia”, który wydał mi się kluczowy – opowiada Wasilkowska. – O tym, że prawdą dziejową jest to, że my budujemy i burzymy to, co budowali nasi ojcowie, a nasi synowie budują, burząc to, co my zbudowaliśmy.

O problemach podczas prób spektakli Garbaczewskiego krążą legendy. Z udziału w głośnym „Hamlecie” w Starym Teatrze zrezygnowało dwunastu aktorów, m.in. Anna Dymna i Jan Peszek. Opowiada jeden ze znajomych Garbaczewskiego: – Krzysztof zaczyna od wrzucenia zespołu w chaos. Potem niczym przewodnik stada próbuje nas przez ten chaos przeprowadzić, zaprowadzić w jakieś piękne miejsce. Po drodze piętnaście razy się zgubimy i do ostatniej chwili nie będziemy wiedzieć, czy dojdziemy do celu, czy zginiemy i czy w ogóle Krzysztof się nie zapadnie gdzieś do wewnątrz swojej głowy. Do premiery zostaje parę dni, spektakl jest w strzępach i nawet ludziom o mocnych nerwach zdarza się pomyśleć: „Kurwa, to się nie złoży”. A potem się składa tak, że chaos zmienia się w przedstawienie, a strach w euforię. To dlatego ci, którzy pracują z nim dłużej, to wyczynowcy.

Radosław Mirski pracuje z Garbaczewskim od czterech lat, jest więc wyczynowcem. Formalnie jest asystentem, ale asystenci z czasem zaczynają reżyserować, a Mirski z bycia asystentem zrobił zawód. Absolwent filozofii i teatrologii. Konkretny facet. Mówią o nim: ogarniacz. Teraz siedzi na widowni i na zmianę wodzi wzrokiem za snującym się po scenie Garbaczewskim i sprawdza Instagram. – Garbacz nie interesują typowe rzeczy – mówi i uśmiecha się spod hipsterskiego wąsa. Na przykład? – Na przykład data premiery. To formalność, a nie moment, w którym kończy się praca. Nie interesuje go też adaptowanie tekstu. Woli wytworzyć konkretną przestrzeń, niszę ekologiczną, w której pewne słowa zaczynają znaczyć. Nad tekstem opiekę sprawują dramaturdzy. Krzysiek oczekuje, że ludzie ze swoim talentem, ze swoją osobowością wejdą w role najlepiej, jak potrafią.

W takiej sytuacji bycie ogarniaczem, tłumaczy Mirski, może się wydawać trudne. Ale nie jest tak źle. – Trzeba roztoczyć opiekę nad ekipą – mówi. – Zrobiłem z tej opieki swój zawód. Nie ma w Polsce drugiego zawodowego asystenta reżysera. To jest jak budowanie rodziny. Potem taka rodzina nagle zostaje zaproszona do teatru. A może mieć jakieś bóle, amnezje, traumy. Trzeba leczyć te neurozy sztuki, odzwyczajając ludzi od nawykowego stylu myślenia. W pracy z Krzysztofem trzeba umieć nieustannie reagować. Najlepsze sceny u niego, te nazywane wizyjnymi, to samorodne zdarzenia. On tylko stwarza odpowiednie warunki, puszcza maszynę teatralną w ruch, obserwuje z uwagą i we właściwym momencie mówi: „Mamy to!”. Zbiera je jak kolorowe szkiełka i układa z nich kompozycję w ostatnim możliwym momencie, niemal minutę przed premierą. Wszyscy są zaskoczeni efektem, a on śmieje się jak dziecko. A tak serio, to jest to potworny stres.

W ostatnim czasie polski teatr znów pokochał Wyspiańskiego. Dzień przed warszawską premierą w Teatrze Studio „Wyzwolenie” wystawił w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza Krzysztof Jasiński, twórca Teatru STU. Na podstawie dramatu Wyspiańskiego powstała słynna „Kłątwa” Olivera Frlijcia w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Kilka tygodni temu w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie „Wyzwolenie” wystawił Radosław Rychcik (podobnie jak Garbaczewski uczeń Krystiana Lupy), który ma już na koncie „Wesele”. – Wyspiański był pierwszym artystą totalnym, zajmował się reportażem, wieloma dziedzinami – tłumaczy Rychcik. – Nasze „Wyzwolenie” umieściliśmy w szkole, nasz Konrad jest nauczycielem, na końcu strzela sobie w łeb. Zostawia swoją naukę ludziom i znika. Konrad jako wojownik ojczyzny w momencie, w którym ojczyzna jest wolna, musi przestać być wojownikiem, zostaje nauczycielem. W którymś momencie wojownicy przestają być potrzebni, potrzebni są nauczyciele – mówi Rychcik.

Garbaczewski szuka w Konradzie zwykłego człowieka. – To jest obsesja naszych czasów – mówi w swoim stylu. – Uczłowieczamy bohaterów. Nawet takiego Bonda, który w jednym z ostatnich filmów na pytanie o to, czy jego martini ma być wstrząśnięte, czy zmieszane, odpowiada: „Mam to w dupie”. Idźmy tym tropem. Może Konrad ma w dupie, czy Polska jest wstrząśnięta, czy zmieszana?

Premierę „Wyzwolenia” przesunięto o kilka dni. W teatrze się nie dziwią. – Wiedzieliśmy, kogo zapraszamy – uśmiecha się Natalia Korczakowska, dyrektorka artystyczna Studia, a między próbami odpala jednego papierosa od drugiego.

– To nie takie proste – przyznaje Aleksandra Wasilkowska – utrzymać spokój, pracując z Krzyśkiem. Ja się niczym nie stresuję, wiem, że to jest nieprzewidywalny proces. Zdarzają się katastrofy, ale on z tych katastrof potrafi zrobić coś niesamowitego.

Tymczasem Garbaczewski dalej pracuje. Zmienia koncepcje, wprowadza nowe pomysły. – Wielkie narracje są niebezpieczne – powtarza, chodząc w kółko. – Czy możemy ich uniknąć? – pyta i wspomina „Hamleta”, nad którym pracował jeszcze z dramaturgiem Marcinem Cecką, niegdyś swoim stałym współpracownikiem. Tamten Hamlet odmówił uczestnictwa w zemście. Teraz Konrad Garbaczewskiego, jako Florestan Wężymord, upija się w hipsterskich knajpach.

– My jesteśmy wychowani na Konradów, mamy wielkie narracje we krwi – mówi Garbaczewski. – Wolność jest dla nas nowością, bo nasze mity są mitami niewolników. Dobrze by było poszukać nowych. Może więc pozwólmy się zabrać do San Escobar, gdzie nie ma ani jednej wielkiej narracji! **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl